

— Odchodzisz?
— Muszę.
— Niezawodnie... masz rację. Służba nie powinna cię widzieć tutaj.
Uścisknęli się, przejęci dziwnym jakimś niepokojem.

Marcelina, pozostawszy sama, przeszła do sypialni, raczej dla zmienienia toalety niż dla spoczynku, czuła bowiem, że doznane wzruszenia zasnąć jej nie pozwolą. Przywdziała wykwinny szlafrok i machinalnie wyciągnęła ręce, żeby opasać się białym sznurem jedwabnym. Ale sznura przy szlafroku nie było. Nosila go niemal nieustannie na sobie, od pamiętnego wieczora, w którym udusiła męża, lecz do żałobnej sukni, w której udać się musiała na rozprawę sądową, wiać się go nie mogła. Pamięta, że pozostawiła go wraz z szlafrokiem w szafie. Co się z nim stało?

Całą resztę nocy spędziła na próżnych poszukiwaniach. Sznura nie znalazła.
— Kto go zabrał z sypialni? kto? kto? — pytała się siebie srodze zaniepokojona, nie znajdując odpowiedzi na zapytanie. Pokój był zamknięty. Wychodząc z pałacu, klucz zabrała z sobą.
Straszny lęk ośwładnął jej sercem.

XI.

W parę dni potem o wpół do piątej wieczorem jednokonna karetą zajechała przed główne drzwi domu sędziego Piotra Molskiego. Dostrzegła ją przez okno Eugenia i zwróciła się do ojca:

— Wszakże dziś nie wyjeżdżasz, papo, ani do sądu, ani na miasto?... pozwolisz zatem, że przejadę się twoim powozem.

— Śnieg pada, moje dziecko, chłodno... jeszcze się przeziebiesz.

— Wiesz przecie, że to dziś dzień, w którym zwykle odwiedzam ubogich.

— Domyślam się do jakich ubogich każesz się teraz zawieść — rzekł Piotr, rzucając na córkę badawcze spojrzenie.

— Pojadę na Chmielną — odparła dziewczę z wrodzoną sobie szczerością.

— Czy sądzisz, że obecność twoja u tych ludzi przyda się na co?

— Pocieszę ich... udzielię im wsparcia.

— Nie przyjmą. Za dumni są na to; nie wezmą jałmużny.

— A przecież spróbuję! Tak bardzo pragnęłabym dopomóc jego dzieciom. Ach, papo, jaka to straszna i bolesna sprawa!

— Marcin Żarski popełnił zbrodnię.

— Nie ojcie. On zbrodni nie popełnił. Wierzę w jego niewinność. Wszystkich ich więc i ciebie drogi ojcie, zmyliły oskarżające go poszlaki...

— Nie mów ze mną o nim, moja Geniu — rzekł sędzia, powstając z krzesła — bo wątpliwości twoje sprawiamy wielką przykrość... Lada dzień go wywiozą i prawdopodobnie nie wróci nigdy do kraju.

— Nigdy! — powtórzyła Eugenia. — Nigdy!
Dwie łzy zawisły na jej rzesach.

Narzuciła na siebie ciemny płaszcz, podbity futrem; czarny, barankowy kołpaczek włożyła na głowę i uściskawszy ojca, który z domu wypuścić jej nie chciał, zbiegła ze schodów, aby wsiąść do karety.

— Na Chmielną — rzekła do stangreta.

Równym kłusem ruszył koń z miejsca w kierunku wskazanym.

Nigdy może w życiu nie czuła się Eugenia tak bardzo smutną i tak do gruntu wzruszoną. Przedsięwzięte przez nią odwiedziny napełniały jej dobre serduszek niepokojem. Biło w jej łonie zdwojonem tętnem, gdy powóz zatrzymał się przed domem, w którym Żarscy mieszkali.

— Do kogo? — zapytała stróżka, zamiatająca śnieg przed bramą.

— Do rodziny pana doktora Żarskiego.

— Oj, biedni oni, biedni!... Na drugim piętrze, proszę pani. Drzwi na prawo, przy schodach. Powoli przeszła Genia dwa piętra i zadzwoniła do drzwi, z których nie usunięto jeszcze metalowej tabliczki z nazwiskiem lekarza. Janek je otworzył. Nie mówiąc i słowa udała się panna Molska za chłopcem do jadalnego pokoju. Na jej widok obie dziewczynki powstały.

— Babciu, jakaś pani — rzekła Sabinka.
— Jestem państwu obcą i nieznaną, a jednak przychodzę, żeby was pocieszyć — powiedziała Eugenia nieco drżącym głosem.

— Dowiedziałas się pani o naszej niedoli i sądzisz pewno, jak inni, że syn mój jest winowajcą.
— Syn pani?

— Tak, syn mój. Jestem jego matką... matką, skazanego na Sybir za niepopelnione morderstwo. Przychodzę nas pocieszyć. Czy pocieszyć można w takim nieszczęściu?

— O, biedna pani... biedne dziewczątka...

— Możesz nas żałować, bo los obszedł się z nami okrutnie. Nędza dawała się nam zawsze we znaki, bo pacjenci Marcina byli to tacy sami, jak my biedacy, lecz znosiliśmy niedostatek cierpliwie. Krępował nas najbardziej i przejmował

binka zaś i Zosia, na widok łez, spływających po licach nieznanej im, ale takiej ładnej i miłej osoby, zapłakały także, lecz cicho, bez łkania, i jęku, wiedziały bowiem, że babka jest strasznie rozdrażniona, że obecnie łatwo wpada w gniew i gwałtowne uniesienie. Od chwili wydania i ogłoszenia przez sąd wyroku ślepa straciła się panowania nad sobą. Ani razu nie położyła się do łóżka. Noce całe spędzała we fotelu, na którym teraz siedzi, pogrążona w smutku i rozpacz. Od dawna już całą rodzinę przycisnęła okropna bieda. Wszystko, co było cenniejszego — trochę sreber stołowych i kosztowniejsze suknie — zaniósł Janek do lombardu, bo przecież trzeba było dzieci nakarmić, odwieść chorą w wygodnym powozie do szpitala, zaopatrzyć ją w świeżą, cieńszą bieliznę i zapłacić za miesiąc komorne, żeby nie sprzedano reszty sprzętów i mebli i nie wyrzucono pozabawionych środków i opieki na ulicę.

Staruszka, myśląc o tem wszystkim, zaczęła opowiadać, jaki z Janka dobry chłopiec, jak troskliwie czuwa nad siostrzyczkami — które przecież nie są jego siostrami — jak życzliwie, z jaką delikatnością nią samą się zajmuje w domu i na ulicy, gdy ją prowadzi za rękę, strzegąc od potrącenia i rozjechania. Genia spojrzała na wątłego i mizernego chłopaka, który spuścił oczy i oblał się rumieńcem, a w wyrazie jego twarzy malował się taki brak wszelkiej nadziei i takie rozczarowanie, jakiego na licach dzieci nigdy nie widziała.

— Biedny malec! — myślała w duchu. — Jeden więcej wydziedziczony, bez przyszłości, bez wiary w siebie.

Po chwili powstała z podanego jej przez dziewczynki krzesła. Zwróciła się do ślepej, ujęła jej suche pomarszczone ręce w swoje dłonie i rzekła słodkim głosem:

— Przyszłam tu głównie, aby pocieszyć ciężko strapiionych, lecz także chciałabym nieść pomoc.

Kimże pani jesteś? — przerwała staruszka.

Genia zawahała się, co ma odpowiedzieć, a piękne jej oczy przysłoniła mgłą wilgotną.

— Jestem ta... którą niegdyś doktor Żarski wyleczył z ciężkiej choroby... jestem Eugenia Molska.

— W takim razie jesteś pani córką człowieka, którego z głębi duszy nienawidzę! — zawołała Żarska ochryplym od oburzenia i gniewu głosem.

— O pani! błagam cię, nie obwiniaj mego ojca. To człowiek prawy i dobry...

— To nędznik! rozbójnik! kat!

— Pani, pani! wiesz przecie, jak groźne podejrzenia ciążyły na twoim synu...

— Jakie? jakie?

— Uciekł z pałacu hrabiego Jelskiego bez kapelusza, jakby ścigany wyrzutami sumienia...

Ślepa otarła pot gęstymi kroplami występującymi na jej czole.

— To prawda!... to prawda! — szepnęła.

Lecz nagle, jakby jakimś, przesywającym serce wspomnieniem rażona, krzyknęła znowu:

— Niech mnie pani opuści!... Proszę ze mną nie mówić o infamii, który wydarł mi syna!... Niech pani wyjdzie! Proszę stąd wyjść natychmiast! Przyszedł, żeby mi uragać, żeby mnie udęczać, żeby brać serce moje na okropne tortury i rozprawiać o ludziach, którymi się brzydzę, a gdy myślę o nich, krew w żyłach moich wre i kipi. Powiadasz, że były podejrzenia, które oskarżały Marcina, a milczysz o jedynym słusznym podejrzeniu, zwracającym się przeciw kobiecie, odnieść mogącej korzyść ze śmierci męża... nienawidzonego... tak! nienawidzonego, powtarzam... bo ta kobieta miała kochanka!

Staruszka, chociaż sina od gniewu, zamilkła jednak niespodzianie.

Genia spojrzała na nią z rozpaczą i trwogą, bo w tej chwili myśl lotna, jak błyskawica, mignęła w jej mózgu, olśnionym nagle jasnowidzeniem. „Och, tym kochankiem był mój brat! Nie mógł być kto inny!“

C. d. n.



— To nędznik! rozbójnik! kat!..

obawą zły stan zdrowia Klary, gasnącej na suchoty... Pani jej nie zna. Istna męczennica!... Dziś rano odwieźliśmy ją do szpitala, bo tu pozbawiona była wszelkich wygod i lekarskiej pomocy, a tam otoczą ją staraniami koledzy Marcina, zaci ludzie, którzy w winę mego syna nigdy nie wierzyli i dotąd wierzyć nie chcą...

— I ja w nią nie wierzę — rzekła Eugenia, drżąc całym ciałem i przyciągając do siebie Sabinkę, bliżej niej stojącą. — Nie nigdy nie uwierzę, aby ojciec tych aniołków był mordercą!

— Niechże pani pójdzie to powiedzieć sędziemu śledczemu, temu nędznikowi Piotrowi Molskiemu, który dziecko moje postawił przed sądem.

— Molski mniemał, że spełnia swój obowiązek — szepnęła Genia niepewnym głosem.

— Swoi obowiązek?!... Nie, pani, on nie spełnił swego obowiązku. Powinien był rozumieć, że Marcin, który mu ocalił córkę od niechybnej śmierci, nie chciał się bronić i tłumaczyć, bo nie mógł wyjawić pewnej smutnej, a nas tylko dotyczącej tajemnicy. Ach, najdroższe dziecko! chciało mnie ochronić... i to go zgubiło.

Eugenia pochyliła czoło i zalała się łzami; Sa-